ROZMAITOŚCI.

Dnia 1 marca, N.ʳᵉʳ 9. roku 1845.

Dobre czasy Łukasza.

POGADANKA.

A było znowu raz (prawił stary expiwniczy pana starosty Ostrzeszowskiego) jechaliśmy z jasnym panem do naszych dóbr, na Podole. Szła mospanie tedy karéta samego pana starosty; sześć koni tarantowatych w szorach, dwóch kozaków przed końmi. Za karétą dopiéroż, mospanie, tedy kocz wiédeński, bryczka jedna i druga, i furgon z kuchnią. Bo jasny pan jeździł zawdy dworno, a za nieboszczki pani starościny, bywało mospanie tedy jeszcze większa swita; anibyś zrachował pojazdów; były bo i panny starościanki w domu i paniczowie, pani Madam już staruszka, i ksiądz Francuz, nazywano go Labusiem, ale mszy nie miéwał, a przy stole jadał niesłychanie dużo chleba; dopiéroż francymer jasnéj pani, dopiéroż mospanie tedy, kamerlokaje, kucharze, kawiarz, strzelec, ta i pan sekretarz jeździł, a co dopiéro było tych stangretów, forysiów, kuchcików, posługaczy; bo to panie były czasy; byli panie, panowie; u pana starosty mospanie tedy naprzykład bywało 30 osób regularnie do stołu siada; kapela nadworna gra, a cóż dopiéro na ś. Franciszek naprzykład, kiedy się zjechała familija i goście z atencyjami, że ich w zamku i trudno było pomieścić. Bo téż pan starosta był to pan, kto niemiał serca, musiał go kochać; kiedy mospanie tedy zjechali się goście, toż dopiéro obiady, festyny, fajerwerki, a strzélali z moździérzy, że aż w Węgrzech słychać było. Ho ho, wtenczas bo to i Ropa szumiała, a w Górze jaki dwór, jakie festyny! Albo u pana starosty Grybowskiego, co to było! — a o panu cześniku w Łużnéj, któż nie słyszał? albo o Rogach, o Tuchowie, mój ty święty Boże!! Tamto śpiéwano! Bodaj to służyć u takiego pana; pan pije do wieczora, a kucharz do rana. —

Otóż mospanie tedy, cóż miałem rzec? Aha, razu tego jechaliśmy z panem starostą do naszych dóbr, na Podole.

A był w dobrach proboszczem ksiądz kanonik; dziwnie go nawidził p. starosta, że prawie kanonik nie wychodził z domu. Pewnego razu mospanietedy ksiądz kanonik — a już zabiérał się do siebie — »Illustrissime,« mówi, rzecze, »raczy mnie wyświadczyć łaskę i przyjąć obiadeczek u swojego sługi.«

Na to starosta: »A na honor, będę, będę u kanonika, jakem katolik będę.«

Kanonik pokłonił się z komplementem i — »Stopki całując,« rzecze; »ale nieśmiém, a mam prośbeczkę do pana starosty, proszę o pozwolenie mnie.....«

»A mój kanoniku wszystko pozwolę, odstąpię wszystko prócz żony i konia.«

»Ale ja proszę tylko o tę łaskę pana sarosty, o pozwolenie mnie kilku dworskich do posługi na ten jeden dzień.«

A właśnie coś sprzątałem po pokoju. Pan starosta obracając się do mnie:

»Łukaszu, na jutrzejszy dzień przyjmujesz służbę u księdza kanonika,« rzecze; »pamiętajże mój bracie, żebym się nie powstydził za ciebie; a ja mości kanoniku ręczę za mego Łukasza, już to co do joty wypełni, co tylko mu każesz; będzie pilny, a i trzeźwy, póki się nie upije.«

A stało się, kanonik sprosił sąsiedztwo, damy, księży, gości huk; obiad był na 40 osób, stoły mospanie tedy suto zastawione; porcelanowa waza, ciasta, cukry, wina, historyje. Ha, goście zaczęli się zjeżdżać; nareszcie trzask z bata raz i drugi, zajechała karéta pana starosty. Kanonik na ganku już tylko czekał, podał rękę panu staroście, dziękował; i do sali prosił. — Ha, zaczął się obiad, huczna kapela grała; po zupie mospanie tedy kanonik kiwa na mnie: »Słuchajno przyjacielu i jakoś dobry pamiętaj a zrób co ci powiém: otóż,« mówi, rzecze, »ja będę pił zdrowie piérwsze dam, potém wniosę zdrowie pana starosty, a jak pan starosta zawoła na ciebie o kieliszek, pamiętajże przyjacielu, żebyś mu podał ten oto kielich.«

A stało na kredensie ogromne puharzysko z napisami. Ja rzekę: »Wielmożny panie, może będzie za duży.«

»Nic się nie bój, tylko go podaj panu staroście, a jakby się spytał, powiész, żem ja ci kazał, przecież powiedział starosta żebyś moich rozkazów słuchał; będzie za to butelka wina.« A dobrze; ksiądz kanonik zaintonował zdrowie dam; jeszcze nie obeszła koléj, wnosi zdrowie: »Illustrissimus starosta, kolator i dobrodziéj najłaskawszy!« I stojący duszkiem spełnił, że tylko jedna kropla pozostała, i z kieliszka spuścił ją ksiądz kanonik na rękę, dla pokazania jak szczérze wypił to zdrowie; starosta stojący dziękował gospodarzowi a potém koleją kłaniał się jednemu po drugim powtarzając zawdy: »a proszę siedzący, bez fatygi, mościwy panie cześniku, chorąży, i tam daléj.« Ha, obeszła koléj cała; to dobrze, aż tu pan starosta mignie na mnie.

»Ano bracie,« mówi, rzecze, »podajno i mnie kieliszek, ale przecie nie bardzo mały jaki!«

»Natychmiast, jaśnie panie.«

Lecę do kredensu, stoi ono puharzysko; ha, co będzie to będzie; niosę go na tacy, skóra drzy na człowieku; podałem; pan starosta spojrzał, aż się przestraszył, ha, bierze w oburącz, ogląda, czyta.

»No bracie,« rzecze zcicha; »uszanowałeśże mnie teraz uczciwie, jak cię kocham, będę ja ci to pamiętał, będę!!«

Źle zemną; wiedziałem co znaczyła taka pogróżka; ha, stało się; ale tu pan starosta także w ambarasie, trudna rada, wstyd, ba i obraza dla gospodarza widoczna mówić o inny; przeżegnał kielich i wziął butelkę; leje i leje, wylał całą, wino ostało gdzieś na dnie kielicha; bierze się do drugiéj, i ta się zmieściła, — a toż mospanie tedy do pełności nalał i z trzeciéj. Oburącz trzymając kieliszysko półgarcowe, podniósł się pan starosta z krzesła, odłożył serwetę na stół, i tak stojący zaintonował:

„Gdzie przyjedziesz, gdzie staniesz,
Tam przyjaciół zastaniesz,
Wspomniéj na tych, którzy cię
Miłują jak życie.

Szanowne zdrowie księdza kanonika, uprzejmego nam przyjaciela, i łaskawego nam gospodarza, wiwat!!«

I na stojączki duszkiem, raz jeden tylko wypocząwszy — wypił. Za starostą mospanie tedy, kolejkiem obchodził kielich, ale już to żaden z panów nie wypił go tak sumiennie; jaki taki rękami zasłaniał — było śmiéchu dość. Otóż mospanie tedy przywieźliśmy pana starostę do domu, rozwlekli do koszuli, i poszedł spać; ale nazajutrz starosta się wytrzéźwił: »Wołajcieno mnie Łukasza, mam z nim na pieńku.« Idę, skóra drzy na mnie, pytam pana sekretarza: a w jakim humorze pan?

Nie bardzo mnie pocieszył; oj źle, myślę sobie; ha, mospanie tedy, wchodzę, starosta przechadzał się po izbie w pudermantlu, ręce wtył złożone, nic nie mówi; myślę sobie, źle! Nareszcie stanie:

»A skurczybyku, dam ja tobie, wszakto z twojéj łaski takem się zalał wczoraj u kanonika; półgarcowy kielich mnie podać; a wołajcieno mnie marszałka.«

Ja mospanie tedy do kolan.

»Upraszam łaski jaśnie pana,« rzekę; »jaśnie pan sam rozkazał...«

»Co, ja? Co ty bajesz?«

»Musiałem« — rzekę — »słuchać co mi kazano, byłem na służbie księdza kano-

nika, jaśnie pan ręczył honorem, że słuchać będę, co rozkaże ksiądz kanonik.«

»A na honor, masz racyję; wyexplikowałeś się bracie, i z tobą kwita, ale co kanonik, za ten figiel mi zapłaci; ale i ty mój kochany bracie, na drugi raz, proszę żebyś pamiętał, że ja przecie nie dziurawa beczka!!« I natém był koniec, tylko za ucho mnie pociągnął, że mi aż w oczach zabłysło. Ha, dobrze jest; po skończonych traktamentach wróciliśmy z panem starostą do domu, ale prawda, na pożegnaniu pan starosta zaprosił księdza kanonika do siebie, na ś. Franciszka. Przyszedł ś. Franciszek; zjechała się mospanie tedy cała familija, gości huk; przez tydzień cały obiady, traktamenta, to bo i jakie illuminacyje! a kapela mospanie tedy grała od rana do wieczora, ani miała spoczynku; aż tedy zaczęli się powoli rozjéżdżać, ta i mospanie tedy ksiądz kanonik przyszedł się pożegnać z panem starostą.

»A na honor mój kanoniku co dzisiaj, to nie pojedziesz.«

Kanonik się explikuje.

»Na mój honor puszczę, ale po obiedzie,« mówi, rzecze starosta; »a kiedy ci tak pilno mości kanoniku, to sobie wyślij bryczkę do miasteczka, konie tam sobie popasą, a ja ciebie mojémi odeślę i czasu nie stracisz; co, zgoda?«

Nie mógł się wymówić kanonik, przystał.

»Ale, ale,« mówi, rzecze starosta; »na drogę zdałby się tobie bigos ta i wino, co?«

»Jeżeli łaska pana starosty...« skłonił się kanonik.

»A no dobrze mój kochanku, nie fatyguj się, sam zadysponuję.«

Zadzwonił. Biegłem duchem.

»Łukaszu, daj tam do bryczki wina na drogę księdzu kanonikowi, i bigosu faseczkę, a potém bryczka księdza kanonika niech sobie jedzie na popas do miasteczka, i tam czeka.«

Ha, stało się jak pan starosta rozkazał; odjechała bryczka, ksiądz kanonik zabawił się jeszcze z panem starostą i dopiéro po sutym obiedzie, wypiwszy strzemiennego, wyjechał.

Dojéżdża do miasteczka, ano przed karczmą bryczka stoi, już zaprzągnięta; idzie mospanie tedy do budy, wsiada:

»A to ki diabeł?« zawoła z fukiem na człowieka. »Czyście poszaleli, cóż to za beczka znowu na bryczce, w moich nogach! Na miły Bóg! gadajcież przecież.«

»Albož to nie jegomość kazał ją tu wsadzić do bryczki?«

»Ależ człowieku ani mi się śniło.«

»No proszę, a to dworscy pana starosty ją włożyli z rozkazania pańskiego, i kazali powiedzieć, że się pan starosta kłania i daje to wino na drogę jegomości; jest tu i faska z bigosem.«

Dopiéroż tedy ksiądz kanonik w śmiéch. »Otóż figiel za figiel!« pomyślał sobie. »Ale cóż było robić, słowo się rzekło, choć ciasno, ciérpną nogi, bo niéma gdzie ich podzieć, przyjąć muszę; jedźmy w imię boże do domu, poganiaj.«

Otóż mospanie tedy było z tego potém sto pociech, ale ksiądz kanonik wiózł mil 50 i dowiózł do domu beczkę wina na bryczce; ale co się natrapił z nią, co niewygody zażył, wasąg mu się dwa razy złamał pod ciężarem, nie opłaciło mu się to wino, ale mospanie tedy pan starosta żartował sobie z kanonika, że za pół garca on go całą beczką utraktował.

Jadam.

Cztéromiesięczny pobyt w Hiszpanii.

Z pamiętników angielskiego oficera.

Gdy powtórne zajęcie Paryża przez wojska sprzymierzone długoletnie wojny w Europie zakończyło, wziąłem uwolnienie od służby i udałem się do Hiszpanii, którą dokładniéj poznać pragnąłem. Najprzód zwidziłem Madryt, gdzie wnet niespodzianym sposobem przyjaciół sobie zjednałem. Pewnego wieczora, błądząc po ulicach stolicy, postrzegłem jakiegoś młodego mężczyznę, obraniającego się przeciw trzem naciérającym nań zbójcom. Moja nagła pomoc ocaliła mu życie; jeden z zbójców poległ, a dwaj uciekli. A że ocalony przezemnie nieznajomy był mocno ranny, przeto musiałem go do pomieszkania odprowadzić, a tak zabrałem znajomość z całą jego rodziną. Odtąd bywałem codziennym gościem w domu rodziców Karlosa, z którym wkrótce najściślejsza przyjaźń mię połączyła.

Po wyzdrowieniu z ran odniesionych, otrzymał

Karlos zlecenie od swego ojca, udania się do Andaluzyi, gdzie jego rodzice posiadali obszérne dobra, których zły zarząd spiesznej obecności właściciela wymagał. Przyjąłem chętnie zaproszenie Karlosa do towarzyszenia mu w téj podróży, i wyjechaliśmy razem ze stolicy.

Nikt nie zdoła skréślić radości, jaką nas piérwsza połowa drogi do Andaluzyi przejmowała. Jadąc na ognistych andaluzyjskich rumakach, zachwycając się roskosznym widokiem najpiękniejszéj pory roku i najpiękniejszych okolic, które owiane błogiém tchnieniem południa, w nieustannie mieniącéj się rozmaitości przemijały przed naszém okiem, podczas gdy nieco daléj na widokręgu śnieżne Siery-Nevady szczyty stérczały — czuliśmy się najszczęśliwszymi w życiu.

Wkrótce jednak zmieniła się okolica. Ponure dębowe lasy, zaczęły się teraz wokoło nas rozlégać, a ciemne Siery-Moreny grzbiety, które coraz bliżéj i nieprzyjemniéj od palmowych wzgórków i cytrynowych gajów odbijały; bynajmniéj nam powabnego widoku nie sprawiły. Ale ta zmiana okolicy nie zmieniła w niczém naszéj swobodnéj wesołości, która przy gwałtownym temperamencie mojego przyjaciela i przy wzmagających się trudnościach naszéj podróży, często zapamiętały, a nieraz nawet niebezpieczny charakter przybiérała.

To śpiéwał z całego gardła jaką pieśń narodową, to przypuszczał konia ponad krawędź przepaści, to go wzganiał na stromą skałę; co ja wszystko, jadąc za nim, mimowolnie czynić musiałem, lubom najmniejszéj do złamania karku nie miał ochoty. I nie wiele téż brakowało, aby do tego w saméj rzeczy nie przyszło. Pędząc albowiem wzdłuż urwistego brzegu wysokiéj góry, potknął się koń mój na przednie nogi i zrzucił mię o kilka kroków przed siebie. Przez kilka minut zostawałem w tém niemiłém położeniu, nie czując dość sił do podźwignienia się z ziemi. Stanąwszy wreszcie na nogach, obejrzałem się za koniem i ujrzałem go na dnie przepaści martwo leżącego. Cóż tedy było czynić? Wołałem za Karlosem co mi sił stało, lecz ten już zapewne zbyt daleko ujechał, aby mię mógł był usłyszéć. Starałem się więc wyjść na wiérzchołek pobliskiéj góry, i ztamtąd, rozpatrzywszy się w okolicy, kierunek drogi sobie obrać. Ale i to było nadaremne; oko moje nie było szczęśliwszém od mego głosu. Tuż przede mną wznosiła się druga góra, którą mój przyjaciel w swym szale zapewne już przejechał Więc mi nic innego nie pozostawało, jak tylko na miejscu zaczekać na Karlosa, który postrzegłszy wreszcie moję nieobecność, zechce przecież powrócić i wybawić mię z téj przygody. Jednakże dwie godzin upłynęło, a mój przyjaciel nie przybywał; z czego wnosić zacząłem, że lub zabłądził lub też jemu samemu podobny przypadek zdarzyć się musiał. Cóż miałem czynić! Sądząc po czasie, któregośmy do zajechania na to miejsce potrzebowali, gdziem się teraz znajdował, powinna była już niedaleko ztąd być gospoda, do któréjśmy podług poprzedniéj umowy na nocleg zajechać mieli. Z tego powodu postanowiłem iść daléj, i szedłem téż bez ustanku przez kilka godzin. Mimo to jednak nie widać było nigdzie ani gospody ani Karlosa; aż wkońcu stanąłem u miejsca, gdzie się droga w kilku kierunkach rozbiegała, a jam już wcale nie wiedział, w którą się puścić stronę.

O ile wzrok mój zasięgał, nie można było dostrzedz ni śladu ludzkiego mieszkania ni jakiéj żywéj duszy — a tymczasem słońce, które już w połowie za górami się kryło, ostatniémi żegnało mię promieńmi. Teraz stałem się już igraszką ślepego przypadku i nie wiedząc sam dla czego, udałem się na lewo. Wzmagająca się ciemność przyspieszyła moje kroki, a uszedłszy z godzinę, przekonałem się z trwogą, iż mój pośpiech był nadaremny, gdyż droga, którą na los szczęścia obrałem, ścieśniała się w coraz węższą ścieżeczkę. Omdlewając z unużenia, nie miałem dość odwagi, abym się nazad wrócił; z drugiéj zaś strony zupełnie nieprawdopodobném się wydawało, aby idąc wciąż naprzód, można było zajść między ludzi. Dostałem się w pośrodek najzawilszego labiryntu górskiego.

Po lewéj, wznosiły się ogromne masy skał, po prawéj ciągnął się las dębowy. Nie mając innego wyboru, udałem się lasem, i szedłszy nim z godzinę, ujrzałem światełko w rozlegającéj się poza lasem dolince. Ucieszony tém pożądaném odkryciem podwoiłem kroku i stanąłem wreszcie u progu jakiegoś obszérnego budynku, który wszakże ruiną mógł być nazwanym. Zapukałem natychmiast do drzwi, z których po krótkiéj chwili wychylił się do mnie olbrzymi, baranią skórą przyodziany góral, i spytał mię surowo, czego żądam. Opowiedziałem mu moje położenie, prosząc o przytułek przez noc dzisiejszą, za co mu znaczną nagrodę przyrzekłem. Te słowa wywołały złowrogi uśmiech na twarzy jego, poczém zaczął mi prawić o honorze jaki jego domowi czynię, dodając, iż mocno żałuje, że mi wygodnego łóżka ofiarować nie może — a nakoniec zaprowadził mię do dużéj izby na dole, która oddawiendawna na kuchnię przeznaczoną być się zdawała. Na jednym końcu znajdowało się ogromne ognisko, gdzie się nieco suchego chrustu paliło. Nad ogniem wisiał na żelaznych hakach olbrzymi garnek wydający dość przyjemny zapach mięsny, który mnie, zgłodniałemu, był bardzo pożądanym. Przed ogniskiem stał wielki stół dębowy, nakryty na dwanaście osób, lubo w całéj izbie, prócz gospodarza, który mię tam wprowadził, było tylko pięć osób, jako to: gospodyni, jakiś trzynasto- lub czternastoletni chłopak i trzech młodych ludzi, mających około dwudziestu do dwudziestuczteru lat wieku. Wszystkie

te osoby zdawały się należeć do jednéj i téj saméj rodziny, gdyż każda z nich odznaczała się podobną dzikością wejrzenia i obejścia, jaka mię zaraz u wstępu na widok witającego gospodarza, niemiło uderzyła. Patrząc na całe towarzystwo, zamieszkujące te odludną ruine, nie mogłem przytłumić podejrzenia, iż się w jaskini zbójców znajduję. Gdym wszedł do izby, zastałem gospodynię przy kotle, podczas gdy młodzież do stołu już była zasiadła.

»Usiądź, senor;" ozwał się do mnie gospodarz, przystawiając mi stołek. — »Przychodzisz w sam czas, aby naszę skromną wieczerzę z nami podzielić, jeżli strawa ubogiego pasterza nie wyda ci się zbyt podłą."

»O, bynajmniéj;" protestowałem usilnie. »Mam wszelkie uszanowanie przed tym garnkiem, którego zapach przejął mię żywym szacunkiem dla waszéj kuchni. Dawajcie tylko na stół, a obaczycie, czy waszą strawą pogardzę."

Usta mojego gospodarza skrzywiły się w odpowiedź podobnym złowrogim uśmiéchem, jaki już wprzód postrzegłem, jego żona zaś wysypała wnętrzności garnka na dużą misę i przysunęła ją do mnie, abym sobie wziął z niéj na talerz. Byłato nieźle przyprawiona źwierzyna, która mi po wszelkich przygodach dnia dzisiejszego, wybornie smakowała. Schlebiony mémi pochwałami gospodarz, kazał przynieść szawłok z winem, i hojnie wszystkich częstował. Podochociliśmy sobie niezgorzéj, i zabawialiśmy się w najlepsze, jakgdybyśmy się Bóg wié jak dawno już znali. Trudno może przyjdzie uwierzyć, lecz szczérze mówię, iżbym był nigdy weselszego wieczora nie spędził, gdyby nie pewien nieprzewidziany wypadek, który całe moje poprzednie podejrzenie nanowo wzbudził. Gdy się mój gospodarz niechcący ponad stół był nachylił, wypadł mu z zanadrza duży złoty, brylantami osadzony medalijon, zawiérający dobrze mi znaną miniaturę — matki Karlosa!

»Wszakżeto obraz mojego przyjaciela Karlosa!" zawołałem mimowolnie na widok medalijonu.

Te słowa poraziły jakby gromem całą rodzinę. Dopiéro po niejakim czasie ocknął się przestraszony gospodarz i odrzekł z udaną obojętnością: »Doprawdy? Byćto może. Znalazłem ten obrazek dziś rano w górach nad rzéką."

Pomieszanie jego było zanadto widoczne, abym mu był mógł wierzyć; niechcąc mu jednak dać do poznania iż mu nie dowiérzam, musiałem cośkolwiek odpowiedzieć, a tak nie wiedząc prawie co mówię, zapytałem go, czyliby niechciał odstąpić mi tego obrazka, abym go mojemu przyjacielowi zwrócił.

»I czemuż nie!" rzekł pasterz dobrodusznie. »Wszakże dla nas on się na nic nie przyda. Możesz go senor więc zatrzymać!"

»Jestem wam wielce wdzięczny za waszą grzeczność," odpowiedziałem, oddając mu medalijon — »lecz w ten sposób przyjąć waszego daru nie mogę. Znalazłszy ten medalijon, nabyliście prawa do niego, które stosownem wynagrodzeniem umorzyć trzeba. Przyjmcie zatém tę małą kwotę."

»Żadną miarą, senor; żadną miarą!" protestował gospodarz.

»Ależ proszę...."

»Nadaremnie! Nie mówmy już więcéj o tém Hej, Juan, przynieśno jeszcze wina!"

Wymówiwszy się zbytniém znużeniem od dalszego siedzenia przy stole, oświadczyłem życzenie udania się na spoczynek, aby nazajutrz rano wcześnie w drogę się wybrać. Ku wielkiemu zadowoleniu mojemu nie opierano się temu i zaprowadzono mię do jednéj z izb na drugiém piętrze, gdzie wkrótce sam pozostałem.

Łatwo pojąć, że nie myślałem bynajmniéj o spoczynku lecz tylko o grożącém mi niebezpieczeństwie, i o środkach jakiemiby mu ujść można. Najprzód obejrzałem starannie izbę, w któréj się znajdowałem. Wszystkie jéj sprzęty składały się z dość niezgrabnego stołu, stołka i słomą zasłanego tapczana, mającego być mojém łożem. Jedyne okno tego pomieszkania było bez ram i szkła, i tylko dużą, dwoma żelaznémi hakami przymocowaną okiennicą zamknięte. Najbardziéj jednak to mię uderzyło, iż mocne drzwi dębowe, które całe blachą obite były, nie zamykały się wcale ze środka, tylko od sieni na dwa ogromne zasuwały się rygle. To urządzenie nie mogło pochodzić z nader przychylnego zamiaru, ależ znowu zkąd powód do przypuszczenia, iżto dzisiejsi mieszkańcy tego budynku to urządzenie wymyślili. Na każdy wypadek byłem mocno niepokojony myślą spania w otwartéj i dla każdego przystępnéj izbie, która zapewne nie bez przyczyny została mi przez gospodarza wyznaczoną. Nareszcie wzmogła się ta niespokojność do tego stopnia, iż bądź co bądź, postanowiłem wydobyć się na wolność z téj pułapki, ale dojrzalsza rozwaga przekonała mię dostatecznie, że nie było żadnego sposobu do ucieczki. Spuszczenie się z okna drugiego piętra, groziło mi niechybną zgubą, główny zaś wychód przez schody, był zapewne starannie strzeżonym, jeżli ci ludzie istotnie jaką zdradę knowali. Tak trzeba było zostać na miejscu, gdzie przynajmniéj ile możności obwarować się należało. W tym celu postawiłem stół pode drzwiami, przysunąłem tapczan do stołu, położyłem tuż przy sobie parę pistoletów i szpadę, a wreszcie znużony tyla wypadkami dnia dzisiejszego, układłem się na łożu, z mocném postanowieniem niezamykania oczu.

Nadzwyczajne rozdrażnienie nerwów czyniło mi ten stan wymuszonego oczekiwania nieznośnym, to zaś spowodowało mię do spokojniejszego zapatrowania się na moje położenie i do trzeźwiejszéj roz-

wagi, azali wszelkie moje obawy nie były płonnem tylko przywidzeniem. Bo i na czémże się moja obawa zasadzała? Czyliż nie mogło w samej istocie się zdarzyć, iż Karlos uganiając się po swojemu na koniu, medalijon ten zgubił? Co tém bardziéj wmówić w siebie usiłowałem, ponieważ byłem pewny, iż gwałtowne odebranie tego medalijonu od Karlosa, mogło tylko wraz z jego śmiercią nastąpić, gdyż byłto święty upominek po jego zmarłéj matce, który niezawodnie chyba tylko z życiem dałby sobie był wydrzeć. Jeżli zaś Karlos został zamordowanym, natenczas nie było już wątpienia, że i mnie ten sam los oczekiwał. A jakkolwiek obawa tego losu pocieszać mnie nie mogła, jakże go było uniknąć! Ja sam jeden przeciw pięciu — czyli raczéj przeciw całéj bandzie zbójeckiéj, któréj zapewne małą tylko cząstkę widziałem. — Nie pozostawało mi więc nic innego, jak tylko zdać się na opatrzność i czekać końca. Czekałem tedy spokojnie, i — trudno może uwierzyć, lecz tak się rzecz w istocie miała — to samo wyobrażenie nieominionéj zguby, któreby powinno było wszelki sen mi odjąć, ukołysało mię właśnie w coraz przyjemniejsze mrzenie i wkońcu zupełnie mię uspiło. Zlepione pragnieniem snu powieki zwierały się cieśniéj i cieśniéj; wreszcie i oko duszy zamgliło się chaotycznie; świat wnętrzny i zewnętrzny rozdzielił się na dwie martwe połowy, świadomość coraz bardziéj słabnęła — nikła: — usnąłem.

Tak może drzemałem z pół godziny, gdy mię coś mocno w czoło ugryzło. Zerwałem się strwożony, chwyciłem pistolety, obejrzałem się wkoło — lecz niczego dostrzedz nie mogłem. Byłem sam jeden w izbie, stół na tém samém stał miejscu, okno było zamknięte jak wprzódy. A przecież nie byłoto tylko złudzeniem, bo posunąwszy ręką po czole, uczułem tam krwi ślady. Któż mię tak zranił, i gdzież mój nieprzyjaciel się podział? Nagle usłyszałem jakiś szelest w kominie, przyskoczyłem tam z pistoletem, i wymierzywszy w czeluście, pociągnąłem za cyngiel, ale pistolet nie wystrzelił. Uchwyciłem więc drugi, lecz i ten zawiódł. Zbliżyłem się ze świecą do komina, aby zajrzeć, kto się w nim ukrywa. Wtém spadł mi kamień na głowę i zmusił mię do odwrotu. Gdy właśnie rękę z komina wyciągnąłem, trąciło coś o świecę, świeca się przewróciła, upadła na ziemię i zagasła.

Teraz — dręczony trwogą wielkiego niebezpieczeństwa, zostawałem w zupełnéj ciemności. Tymczasem szelest w kominie ucichł. Przypomniałem sobie, iż mam w kieszeni narzędzie do skrzesania ognia i zapaliłem świecę. Dopiéro teraz odkryłem powód mego przestrachu. Nieprzyjaciel, przeciw któremu dwukrotnie broń wymierzyłem, byłło — szczur ogromny. Śmiejąc się i złorzecząc razem, obejrzałem pistolety, które po raz pierwszy dziś mię zawiodły — z obudwóch były naboje wykręcone. To odkrycie, potwierdzając mię w moich domysłach względem grożącego mi niebezpieczeństwa, przejęło mię wdzięcznością dla tego samego szczura, któremu przed chwilą złorzeczyłem. Onto ostrzegł mię, iż moje pistolety były nienabite, jemuto byłem winien jeżli nie ocalenie moje, to przynajmniéj możność bronienia się od zbójców.

Zacząłem natychmiast nabijać pistolety, — niedługo trwało, usłyszałem lekkie stąpanie po schodach; chwila zguby nadeszła. Krew mi się ścięła w żyłach, zimny pot wystąpił na czoło. Zbliżający się, kórych mogło być sześciu lub siedmiu, stanęli pod drzwiami. Jeden z nich pocisnął za klamkę a uchylone drzwi odsunęły cokolwiek stół podstawiony.

Stanąłem tuż przy stole z przedsięwzięciem przebić piérwszego, który przez próg przestąpi. Mógłbym był wprawdzie już przez otwór we drzwiach ubić którego, ale jakaś niepojęta obawa wstrzymywała ramię moje; dopiéro gdy jeden ze zbójców do izby się wcisnął, i zwrócony do mnie plecami, do stołu się zbliżył, przeszyłem go tak silnie nawskroś szpadą, że ani jęknąwszy padł na ziemię.

„Niezgrabny!” mruknął mój gospodarz za drzwiami, mniemając iż towarzysz jego się potknął.

»Nasz gość zapewne twardo zasnął;” rzekł drugi.

»Cicho — i naprzód!” odezwał się gospodarz.

Nato wsunął się znowu jeden; nie tracąc chwili ugodziłem w piers nieprzyjaciela, który okropnie jęknąwszy, padł wznak jak długi.

»Matko boska!” krzyknęło kilka głosów za drzwiami. »Obudwóch zabił!”

»Wywalić drzwi, i dać razem ognia do niego!” zagrzmiał rozkazujący głos gospodarza.

Usunąłem się na bok i przycisnąłem ile możności do ściany. W téj chwili załomały się drzwi pod ciężarem podważających, i padło kilka strzałów razem; cała zgraja wtłoczyła się do izby i potknąwszy się o ciała poległych zbójców, wywróciła stół z światłem, które na moje szczęście zgasło, nim mnie jeszcze ujrzano.

„Otworzyć okiennice!” krzyknął gospodarz, i natychmiast wszyscy razem do okna się rzucili. Wziąłem to za skinienie opatrzności i oddawszy się jéj opiece, skoczyłem ku drzwiom. Noc była tak ciemna, żem nie postrzegł zbójcy, który stał w progu na straży, i tak go sobą silnie uderzyłem, że aż się powalił, a ja w téj chwili wbiegłszy do sieni, zatrzasnąłem drzwi za sobą, i zasunąłem rygle; poczém zbiegłem po schodach na dół, wymknąłem się niepostrzeżony z domu, i zacząłem biedz przez las pedem co mi sił stało.

Po długim nieustannym biegu, w przywidzeniu żo mię ścigają, dostałem się osobliwszém zrządzeniem opatrzności na publiczny gościniec i padłem tam bez zmysłów.

Nie wiem jak długo w tym pół-śnie, pół-omdleniu leżałem, lecz przyszedłszy do siebie, ujrzałem się wpośród żołnierzy.

»Nie ma wątpienia, onto pewnie go zabił!« ozwał się jeden.

»Widać jeszcze ślady krwi na nim;« dodał drugi.

»Boże, co słyszę!« zawołałem z oburzeniem. »Zbójcy są tam w zwaliskach w lesie, — jato jestem, którego zabić chcieli.«

Otaczający mię żołniérze należeli do oddziału, który przechodząc do stolicy, zdybał przy drodze trupa zabitego Karlosa. Nadaremne były wszelkie moje zapewnienia, iż zamordowany młodzieniec był moim najszczérszym przyjacielem, i żeśmy razem tędy przejéżdżali; okoliczności towarzyszące mojemu uwięzieniu— nieład mego ubrania, krew świeża na moich rękach, miejsce mego spoczynku niedaleko napotkanego trupa, wreszcie znaleziony przy mnie medalijon — wszystko zdawało się świadczyć o mojéj winie, i skłoniło dowódzcę oddziału do przytrzymania mię pod strażą, aby mię oddać w ręce sprawiedliwości.

Jakoż odprowadzono mię do Madrytu, i pomimo wszelkie najusilniejsze protestacyje osadzono w więzieniu. Nawet moje odwołanie się do angielskiego posła w Madrycie nie miało żadnego skutku. Przyjmowano wprawdzie moje prośby na piśmie, lecz nikt się za mną nie ujął; musiałem cierpiéć niewinnie i bez nadziei.

W tak smutném położeniu odwidził mię jednego poranku starzec, którego smutkiem pochylona postać świadczyła o najsroższém cierpieniu — był to Don Antonio de S.,.., ojciec Karlosa. Opowiedziałem mu całe zdarzenie. Nie wątpił ani chwilę o prawdzie moich wyznań. Tknięty moim losem, przyrzekł wstawić się za mną i nie zawiódł danego słowa.

Jako cudzoziemiec należałem pod zwierzchność jeneralnego kapitana królestwa, który mając mię więzić, powinien to był uczynić za zezwoleniem posła mojego narodu. A że to się nie stało, więc złożono winę na korregidora i uznano moje uwięzienie bezprawném. W skutek wstawienia się Don Antonia i protestacyi ambasadora, byłem nazajutrz wezwany przed kapitana jeneralnego, który oświadczył, iż w tym razie nie może mnie natychmiast uwolnić, lecz wyda niezwłocznie rozkaz do jaknajśpieszniejszego ukończenia mego procesu. Tak musiałem wrócić znowu za kraty, i dopiéro po tygodniu wyprowadził mię ztamtąd czcigodny Don Antonio, i zaprosił na mieszkanie do siebie, aż dopóki nie wyjadę z Hiszpanii. U niegoto dowiedziałem się iż przedsięwzięto śledztwo w owéj leśnéj ruinie, lecz znaleziono ją opuszczoną, a o dawnych jéj mieszkańcach nie było najmniejszego śladu.

Po tylu smutnych wypadkach nie mogłem bawić dłużéj w tym pięknym ale zdziczałym kraju. Opuściłem go wkrótce i powróciłem do méj ojczyzny, gdzie do téj chwili dowiedzieć się nie mogłem, czyli mój gospodarz w górach Siera-Morena dostał się w ręce sprawiedliwości.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 8my i zawiera: 1) Jeszcze niektóre sposoby wytępienia ślimaków rolnych (*limax agrestis*). 2) O chorobach bydlęcych, których należy obawiać się tegorocznej zimy, i o środkach zapobieżenia im. (Dokończenie.) 3) Arcyużyteczna maśniczka wynalazku Hofmana. Z ryciną. 4) O galaktometrze (mlékomierzu), wynalazku W. E. barona Gumpenberg-Poettmes. Z ryciną. 5) Kawa z węglanem sody gotowana. 6) Wiadomości handlowe.

Dziennika mód paryskich pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 5ty i zawiera prócz mód, następujące artykuły: 1) Porękawiczne, przez Maryję z Ch. P... 2) Romanca o wzięciu Alhamy. 3) Ćwierć gęsi. (Dokończenie.) 4) Teatr. 5) Ogłoszenie.

Nakładem księgarni Franciszka Pillera i Spółki wyszedł drugi zeszyt dzieła »Nauka języka polskiego z zasad Szrzeniawy.« — Trzeci i ostatni zeszyt już jest pod prasą.

Do ważnych nowości literackich należy »*Gramatyka języka polskiego*,« napisana przez Jana Nepom. Deszkiewicza, na której wydanie ogłosił autor przedpłatę. — Przy dzisiejszym niedostatku prawdziwie dobrych gramatyk języka polskiego, gramatyka pana Deszkiewicza wypracowana na zasadach, które tenże w znanych i z powszechném zadowoleniem przyjętych *Rozprawach* swoich ogłosił, jest zjawiskiem bardzo pożądaném, i nie można jak tylko życzyć rychłego wyjścia jej z druku. Rękopism sam nietylko jest ukończony zupełnie, ale przeszedł już krajową cenzurę, i nie dostaje nic więcéj jak tylko nakładu. Że zaś autor nie jest w stanie ponieść kosztów druku, ogłosił więc pomienioną przedpłatę, od któréj przyspieszenia, zależy przyspieszenie druku. Prócz zalet samego dzieła, zasługuje autor na pochwałę i ztąd, że chcąc, aby książka jego była jak najtańsza, postanowił zbierać przedpłatę przy pomocy przyjaciół i znajomych; w drodze bowiem księgarskiej cena jej musiałaby być blisko o trzecią część wyższą, a tem samem uciążliwszą publiczności. Dzieło to pożyteczne co do przedmiotu, gruntowne co do obrobienia, jasne w wykładzie, rozwiązuje bardzo szczęśliwie trudności dotychczas nietknięte prawie, a zawiérając blisko 30 arkuszy druku jest tylko za 2 zr. m. k. do nabycia *), przewyższa tedy taniością wiele ksiąg polskich. Tymczasowo przyjmuje przedpłatę (franko) autor w Łancucie w obw. rzeszowskim mieszkający, jakoteż księgarnie lwowskie pana K. Jabłońskiego i pana Volkmara Stockmanna. W innych zaś księgarniach galicyjskich tyle tylko egzemplarzow będzie do zbycia, ile one ich sobie przedpłatą zapewnią.

Ofiara pojedynku. Jest nią młody hrabia Dembiński, synowiec znanego jenerała tegoż nazwiska, uczeń akademii górniczéj w Frejbergu. — Oddawna już zachodziły spory pomiędzy oficerami załogi miasta Frejbergu a uczniami tamecznéj akademii górniczéj. Na jednym z ostatnich balów tegorocznych zapust nastąpił porucznik W. na nogę pewnéj damie, z którą Dembiński tańczył. Pan W. zapomniał przeprosić danserkę akademika, a ztąd przyszło do pojedynku: — na pistolety przez baryjerę. Przy mierzaniu zawiódł pistolet porucznika, co się stało powodem, iż pojedynek inaczej urządzono a metę na piętnaście kroków wytknięto. Młody Dembiński, mający najprzód strzélać, rani z lekka ramię swojego przeciwnika, i pada w téjże chwili przeszyty wskróś serca jego kulą — »o moja biédna matko!« zawoławszy. — Matka poległego żyje w Dreznie; doznała ona w ostatnich latach nadzwyczaj wiele nieszczęść. Niedawno temu utraciła męża, który przypadkiem przez zamianę lekarstwa otrutym został; przed kilką tygodniami umarła

---

*) Na welinowym papierze cena wynosi 3 zr. m. k.

jéj 18letnia córka; druga córka leży śmiertelnie chora. Jedyną jéj pociechą miał być jéj syn 10letni — gdy nagle otrzymuje wiadomość, że i ten zginął!

Ukaz o obyczajności. Znany pisarz angielski Oliver Goldsmith opowiada w jedném ze swoich dzieł historycznych, iż cesarzowa Katarzyna II była piérwszą rządczynią Rossyi, która dla złagodzenia surowych obyczajów swego narodu, wprowadziła kobiéty w towarzystwa, składające się dotąd z samych mężczyzn. Z tego powodu przytacza wspomniony autor poniższy ukaz cesarski, wydany w celu obznajomienia wszystkich z prawidłami towarzyskiéj przyzwoitości, jakie w tych nowozaprowadzonych zgromadzeniach zachowywać należało: I. Ktokolwiek chce zgromadzić towarzystwo w swoim domu, winien zawiadomić o tem publicznie, bądźto afiszem, bądź jakimkolwiek innym sposobem, osoby płci obojéj, które życzy sobie widzieć u siebie. II. Zgromadzenie takowe nie powinno zaczynać się przed czwartą lub piątą godziną po południu, ani też trwać dłużéj jak do dziesiątéj godziny wieczór. III. Gospodarz domu nie jest wcale obowiązanym wychodzić naprzeciw zaproszonym osobom, ani odprowadzać ich do drzwi, ani też bawić gości. Ma im jednak dostarczyć krzeseł, świec, różnych gatunków wódki, tudzież innych przynależących rzeczy. Oprócz tego powinien zaopatrzyć swych gości w kostki, karty i wszystko co do gry jest potrzebném. IV. Niema wcale wyznaczonego czasu, o którym zaproszone osoby przybywać lub oddalać się mają; byle tylko uczynili zadosyć zaproszeniu i pokazali się na chwilę w towarzystwie. V. Każdemu wolno siedzieć, chodzić lub grać podług upodobania, a wszelkie przeszkadzanie w tym względzie, albo nagany za to — są zakazane. VI. Osoby znakomite, szlachta i wyżsi wojskowi, jakoteż kupcy i rzemieślnicy, a mianowicie cieśle, wreszcie wszystkie osoby należące do kancelaryi rządowéj, mają wolny wstęp w te zgromadzenia, wraz z swojémi małżonkami i dziećmi. VII. Dla sług, wyjąwszy sługi domu, w którym towarzystwo się znajduje, będzie wyznaczone miejsce osobne, aby uniknąć zbytecznego natłoku. VIII. Żadnéj z dam nie wolno upijać się pod jakimkolwiek pozorem, i żaden też mężczyzna nie powinien tego przed dziewiątą godziną czynić. IX. Damy, które mają grać w fanty lub inne gry nieszkodliwe, powinne zachowywać się przyzwoicie. Żadnemu mężczyźnie nie wolno zmuszać damy, aby mu dała całusa, i nikt też nie ma prawa bić żadnéj z obecnych kobiét, pod karą wykluczenia na przyszłość z towarzystwa.

Naramiennik królowéj angielskiéj Wiktoryi, którym ona przy uroczystościach dworu swą delikatną rękę zdobi, należy do najosobliwszych pamiątek, na jakie kiedy śród blasku majestatu patrzały oczy królewskie. Wyrabiany misternie z najcieńszych nitek złota, zawiéra ten naramiennnik cztéry przecudne dyjamenty, które o ile pięknością nie łatwo dorównane być mogą, o tyle jeszcze większéj wartości od swoich poprzednich właścicieli nabywają. Piérwszy i największy ze wszystkich był niegdyś własnością księżniczki walijskiéj Karoliny Augusty, którą cały naród angielski dla jéj rzadkich cnót i przymiotów w niezgasłéj zachowuje pamięci. Drugi i trzeci należał do nieszczęśliwéj królowéj francuzkiéj Maryi Antoniny, ściętéj w roku 1794; a czwarty i najpiękniejszy ze wszystkich jaśniał niegdyś na skroni uwielbianéj królowéj, która podobnegoż losu doznała: był on własnością szkockiéj królowéj Maryi Sztuart — a późniéj króla, którego potęga wraz z szczęściem jego brata upadła, to jest Józefa Bonapartego. — Otaczałyż kiedy delikatną rękę niewieścią lekkim zgrabnym pierścieniem osobliwsze pamiątki! — W ogólności zdaje się, jakoby królowa Wiktoryja, we wszystkiém szlachetną prostotę lubiąca, spaniały blask pojedyńczych dyjamentów nad wszelkie inne pstrzejsze ozdoby przenosiła.

Sławny badacz natury Geoffroy de St. Hilaire opowiadał na ostatniéj prelekcyi uwagi uczynione przez niego w ogrodzie roślin, gdzie jak wiadomo, wiele małp żyje razem. Małpy te doznawają niejako szczęśliwości małżeńskiego pożycia i wielką okazują radość, gdy się młoda małpa narodzi. Pan Geoffroy uważał to w roku 1843cim; wszystkie małpysamce zgromadziły się wokoło ojca, jakby mu chciały winszować; samice zaś czyniły to samo wokoło matki. Każda wzięła nowonarodzoną małpkę na łapki i zwróciła ją dopiéro wtedy matce, gdy jéj wprzód dość już pieszczot okazała. Rodzice młodéj małpki bardzo się nią pieścili; czasem ją także karcili, lecz zawsze ją obraniali.

Wpływ niektórych lekarstw na umysł ludzki. Pewien lekarz duński ogłosił wynikłości swoich długoletnich doświadczeń nad wpływem, jaki wewnętrzne używanie niektórych lekarstw na moralne i umysłowe władze ludzkie wywiera. I tak utrzymuje on iż ammoniak i wszelkie spokrewnione z nim preparaty, jakoteż piżmo, winna essencyja i eter, siłę wyobraźni podnoszą i wyższy jéj polot nadają. Pirogeniczne oleje pobudzają do melancholii, złego humoru i czynienia sobie różnych illuzyj. — Odwary konopiane wywołują nadzwyczajną wesołość, z któregoto powodu Indyjanie z upajającémi trunkami mieszać je zwykli. — Protoxyd z azotu wznieca śmiech nieustanny. Używanie arszeniku w miernych porcyjach skłania do ponurego smutku; tak zwany złoty proszek podnieca dobry humor; zaś żywe srebro sprawia ociężałość i lenistwo. Wreszcie chlornitrat Morfijusza ma wymowę wzmagać.

Piérwsza tatarska sala ochrony małych dziatek została otwartą w Kazaniu, dnia 18go grudnia roku zeszłego, przy solennym obchodzie imienin cesarza Mikołaja.

Sen dwuznaczny. Do kantoru kolektora loteryi weszła ładna panienka, 16 do 18 lat mająca i wszczęła następującą rozmowę z kolektorem: *Panienka:* Miałam sen szczególny, lecz wstydzę się go wyjawić. *Kolektor:* Proszę tylko powiedzieć, piękna panienko; sny są przepowiedniami losu. *Panienka:* Ale proszę nie patrzyć na mnie, bo musiałabym się rumienić. Śniło mi się zeszłéj nocy, iż mój narzeczony niezliczenie razy mię całował. *Kolektor:* Jeśliś panna te całusy z ochotą przyjęła, tedy oznacza to nr. 36, — jeśliś się zaś opierała, znaczy to nr. 48. *Panienka* (spuszczając oczy): »Wiész pan co, zdaje mi się, iż lepiéj będzie — wziąć nr. 36.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.